

Spotkanie w Cartagenie de Indias



Gustavo Arango, fot. Tatiana Melo.

Florian Śmieja

Kanadyjska poczta przyniosła mi powieść Kolumbijczyka Gustawa Arango *El origen del mundo* (Pochodzenie świata). Autor jest profesorem języka hiszpańskiego i literatury latynoamerykańskiej na uniwersytecie stanowym Nowego Jorku w Oneonta. Posyłając mi książkę, wpisał do niej:

Dla Floriana Śmieji, odnalezionego, choć nigdy nie zaginionego...

Choć dedykacja pochodzi z roku 2013, to poznaliśmy się już dawniej, w 1996 roku w cudownym nadmorskim mieście kolumbijskim Cartagena de Indias. Tam odwiedziłem redakcję dziennika „El Universal”, w którym za młodu pracował noblista Gabriel Garcia Márquez. Redaktorem tygodniowego dodatku literackiego tej gazety był wówczas młody pisarz Gustaw Arango, którego udało mi się zarazić podziwem dla poezji Herberta i Szymborskiej.

Leży teraz przede mną zachowany jeszcze numer tego dodatku z datą 8 grudnia 1996 r. z artykułem Gustawa zatytułowanym *Uścisk dla Wisławy* (*Un abrazo a Wisława*), ilustrowanym dużą fotografią poetki. W artykule znalazł się opis naszego spotkania. Redaktor Arango przypomniał, jak to mężczyzna w średnim wieku przybyły z Kanady przyszedł do jego biura – i miało się okazać, że nie był to przypadkowy kanadyjski turysta, ale polski

poeta z Kanady, który w czasie spotkania opowiedział mu o Zbigniewie Herbertcie oraz spotkanej w Krakowie Wisławie Szymborskiej, świeżo uhonorowanej nagrodą Nobla.

Autor artykułu wspomina, jak dowiadywałem się o losy tego najlepszego dziennika w mieście, a potem wyraziłem swoje uznanie za kultywowanie na jego łamach w tych stronach tak pięknego, choć przecież mało użytecznego zamięłowania do poezji. Przypomina czytelnikom, że jego gość, nauczysz się hiszpańskiego w Irlandii i Anglii, pracował jako hispanista w Anglii, a potem przeniósł się do Kanady. Wymienia moje przekłady na polski meksykańskiej powieści *Gniew* i andaluzyjskiej elegii o osiołku pt. *Srebroń i ja*. Artykuł swój tak kończy:

Wiedząc, że te stronice dostaną się do rąk Wisławy, korzystamy z okazji, by przesłać jej całusa i uściski z podziękowaniem za wszystkie okoliczności, które pozwoliły nam raczyć się świeżością cechującą jej słowa.

Jego tekstowi towarzyszyły dwa moje przekłady wierszy Szymborskiej na hiszpański: *Pochwała złego o sobie mniemania* oraz *Portret kobiety*. Tę stronę kolumbijskiego dodatku wedle przyrzeczenia posłałem do Krakowa.

Okazało się, że ambitnemu pisarzowi Gustawowi Arango udało się później przenieść do Stanów Zjednoczonych, gdzie z czasem stał się uniwersyteckim wykładowcą i nagradzanym powieściopisarzem. Po latach mnie odszukał i przysłał książkę. Nie zapomniał również o Zbigniewie Herbercie, którego parę przekładów mojego pióra także w Cartagenie ogłosił. Utkwiły mu nie tylko w jego pamięci redaktorskiej, ale i twórczej. Bo w przysłanej mi powieści na stronie 103 widzę takie oto echa moich hiszpańskich prób tłumaczeń wierszy Herberta. Oto jak protagonista Aranga w powieści rozważa swoją sytuację:

Mogłem pozostać w odległej prowincji pod liśćmi sykomorów i pod rządami chorowitych nepotów...

i dalej:

wypracuję sobie strategię... nie mam zamiaru przysługiwać się... biłem brawo miarowo, uśmiechałem się połowicznie, marszczyłem brwi dyskretnie, nie spodziewając się złotego łańcucha, te z żelaza wystarczą. Opuściłem prowincję, bo tam wszystko było mi obce. Drzewa były jakby bez korzeni, domy bez fundamentów, kwiaty pachniały woskiem, deszcz szklany...Suche obłoki kołatały o puste niebo. Wróciłem przekonany, że będę mógł na nowo nauczyć się twarz, jak się

zachować. Ułożyłem się z dolną wargą, by umiała powściągać pogardę, zdołałem sprawić, by oczy były puste i zająca twarzy oduczyłem drżenia... Wierzyłem, że jakoś mi się to ułoży. Pomyślałem, że kluczem do sytuacji jest trzymanie się z dala od sztuczek z trucizną.

Przypomnijmy sobie teraz dla porównania fragmenty *Powrotu prokonsula* Herberta:

mógłbym pozostać tutaj w odległej prowincji
pod pełnymi słodczy liśćmi sykomoru
i łagodnymi rządami chorowitych nepotów

gdy wrócę nie mam zamiaru zasługiwać się
będę bił brawo odmierzoną porcją
uśmiechał się na uncje marszczył brwi dyskretnie

nie dadzą mi za to złotego łańcucha

ten żelazny wystarczy

...wszystko tu nie moje

drzewa są bez korzeni domy bez fundamentów deszcz
szklany kwiaty pachną woskiem

o puste niebo kołacze suchy obłok

trzeba będzie na nowo ułożyć się z twarzą

z dolną wargą by umiała powściągnąć pogardę

z oczami aby były idealnie puste

z nieszczęsnym podbródkiem zającem mej twarzy

Porównując oba te teksty, zastanawiałem się, czy mamy u Arango do czynienia z plagiatem, czy też ze świadomym

zapożyczeniem z utworu polskiego poety, z posłużeniem się doświadczeniami bliskiego autorowi człowieka, guru, idola, który także znalazł się w sytuacji emigranta i umiał swoje położenie wyrazić tak doskonale, że je zdominował? W ojczyźnie Arango wiódł życie skromne, ale „pełne”, wartościowe; żywił jednak ambicje, które sprawiły, że zakosztował w obcym kraju, pod innym słońcem i wśród odmiennych ludzi, bogatej kariery. Kiedy wspominał o straconej idylli, żyjąc w dostatku materialnym, może zatęsknił choćby fikcyjnie do swoich stron? I przypomniał sobie wynurzenia poetyckie Herberta?

Zakładam, że Herbertowi byłoby miło jako inspiratorowi wynurzeń człowieka z zupełnie innego kulturowego kręgu.

Powiązany artykuł:

<http://www.cultureave.com/klerk-mezny-wspomnienie-o-zbigniewie-herbercie-1924-1999/>

Paweł Kunigis.

Moje życie to wielki bałagan.

Urodził się w Polsce, dzieciństwo i młodość spędził w Izraelu, od 40 lat mieszka w Kanadzie. Nie uczył się muzyki, a gra, komponuje pisze teksty piosenek i to w wielu językach, po polsku, hebrajsku, arabsku, francusku, angielsku. Nazywany jest poetą-poliglotą. W 1995 roku założył zespół „Jeszcze raz”. Wydał płyty „Pamiętam”, „Balagane”, „Wapiti”, „Exodus” i „1 Moment”. Zarówno prasa, jak i dziennikarze radiowi nie szczędzą mu słów uznania, za oryginalność muzyki i umiejętne połączenie elementów różnych kultur.



Paweł Kunigis, fot. Kronika Montrealska.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Pierwszy raz usłyszałam o Panu podczas Festiwalu Jazzowego w Montrealu. W programie rzuciła mi się w oczy znajomo brzmiąca nazwa Pana zespołu „Jeszcze raz”. Czy mógłby Pan opowiedzieć o Pana powiązaniach z Polską?

Paweł Kunigis

Urodziłem się w Polsce, w Bydgoszczy. Matka była Polką, katoliczką, a ojciec Żydem. Gdy miałem 3 lata wyjechałem z rodzicami do Izraela. Mój ojciec był w Polsce pułkownikiem, musiał jednak wyjechać, bo miał problemy z wojskiem. Mieliśmy tam mieszkać rok, może 1,5 roku, ale zaraz po przyjeździe okazało się, że moja matka zachorowała na raka i wkrótce zmarła. I tak zostaliśmy przez dłuższy czas w Izraelu. Ale duża część rodziny mieszka nadal w Polsce, w Gdańsku, Bydgoszczy, Włocławku, Łodzi i Słupsku.

Czy pamięta Pan Polskę, polskie dzieciństwo?

Nie tak dużo. Czasami nie jestem pewien czy to ja pamiętam, czy to są rzeczy, które mi ojciec opowiadał. Dla mnie przez wiele lat Polska nie istniała, nic do niej nie czułem. Mieszkałem przecież w Izraelu, potem w Kanadzie. Dopiero jak w Polsce weszła Solidarność, to wtedy tak jakbym się obudził. Zapragnąłem stworzyć muzykę z polskimi elementami i do polskich słów. Wszystkie polskie melodie nagle mi się zaczęły przypominać. Nie wiem czemu. To tak jakoś w duszy grało. Nie potrafię tego ani nazwać, ani zrozumieć.

Wyjechał Pan z Polski będąc małym dzieckiem, ale dobrze mówi Pan po polsku.

To ojciec nauczył mnie języka. Moja matka przed śmiercią prosiła ojca, żeby uczył nas polskich tradycji. I ojciec dotrzymał słowa. Wychowywał nas po katolicku, rozmawiał z nami tylko po polsku. Z braciem, jak ojca nie było, rozmawiałem po hebrajsku, francusku, angielsku.

Czyli wychowywał się Pan, będąc otoczony wpływami wielu kultur.

Bardzo dużo różnych wpływów miałem wokół siebie. Oprócz tego, że byłem katolikiem w Izraelu, co nie było wtedy takie lekkie, chodziłem do francuskiej szkoły w małym arabskim miasteczku Jaffa. Dlatego na moich płytach znajdują się piosenki po polsku, hebrajsku, arabsku.

Płyty są więc multikulturowe, jak amerykański kontynent.

Tak, ale Ameryka to jazz, blues, francuskie piosenki, ale nie rozumiem czemu, gdy zaczynam pisać, słowa w większości układają mi się po polsku. Myślę, że psycholog na pewno by to jakoś wyjaśnił.

Gdzie Pan uczył się muzyki, gry na instrumencie, kompozycji?

Nigdy nie studiowałem muzyki, nie ukończyłem żadnej szkoły

muzycznej. Śpiewałem w kościele, jak byłem młody i to wszystko.

To skąd Pana zainteresowania muzyczne?

Myślę, że to rodzinne. Zarówno ojciec, jak i matka śpiewali. Wujek z Włocławka grał na akordeonie. Muzyka zawsze gdzieś we mnie była. Gdy miałem 20 lat znalazłem jakieś pianino, zacząłem próbować i wyszło, udało się.

Czyli Pan i komponuje i pisze teksty, gra na pianinie i śpiewa?

Tak, wszystkie kompozycje i teksty są moje i staram się je też wykonywać.

W 1995 roku założył Pan zespół „Jeszcze raz”. Czy wcześniej, zanim powstał zespół też zajmował się Pan muzyką?

Zacząłem zajmować się muzyką profesjonalnie w latach 90. Nie byłem żonaty, nie miałem dzieci, byłem sam, miałem już 40 lat, więc pomyślałem, że zamiast szukać jakiejś dziewczyny, zajmę się na poważnie muzyką. Na pewno mniej kosztuje. Zacząłem od bluesa. Poznałem muzyka, który grał na kontrabasie, on mi zaproponował wspólne granie, a ja się zgodziłem. Za jakieś 3 lata przygotowaliśmy się do występu w Montrealu i nie mieliśmy

żadnej nowej piosenki. Ja miałem taką piosenkę, nazywała się „Jeszcze raz”, napisałem ją jakiś rok wcześniej. Koledzy mnie przekonywali, mówili „podczas prób, nie raz grasz taką piosenkę po polsku, spróbuj, będziemy mieli coś nowego”. Ja się trochę przestraszyłem, przecież nikt tu nie rozumie po polsku. Ale dałem się namówić. Pozytywna reakcja publiczności mnie zaskoczyła. Wtedy wszyscy mi mówili, że to jest ten temat, żebym go kontynuował. Pomyślałem, że ja przecież czuję to co śpiewam. Blues to jest coś zupełnie innego. Nie jestem Murzynem, nie miałem takich problemów, jak oni, więc dlaczego mam śpiewać o ich problemach. Ja mam swoje problemy od Polski poprzez Izrael do Kanady.

Czy poprzez muzykę opowiada Pan swoje życie?

„Pamiętam” była pierwszą płytą. Na niej jest zapisana historia mojej rodziny. Znalazły się tam opowieści przekazywane głównie przez mojego ojca od czasów wojny. Druga płyta „Balagane” po hebrajsku „Balagan”, to jest już moje życie, moje sprawy. Piosenki po polsku nie mają żadnego podtekstu politycznego, po hebrajsku i arabsku mają. Przecież w Izraelu połowa ludności to Arabowie, więc wpływy kultury arabskiej są bardzo duże, a i konflikty się nie kończą.

Jakby Pan określił rodzaj muzyki, którą Pan komponuje?

Nazwał bym ją własnym stylem. Jest to taka mieszanka wszystkiego, trochę muzyki cygańskiej, trochę klezmerskiej, trochę jazzu.

Czyli to, co w duszy gra.

Dokładnie tak. Niektóre utwory, to piosenki-opowieści. Jest taka piosenka „Alte sachen” W Izraelu był mężczyzna, który sprzedawał stare rzeczy i wołał „alte sachen”. Pewnego dnia nie przyszedł. Pomyślałem, że może zgubił konia i teraz go szuka. I napisałem o tym piosenkę.

PAUL KUNIGIS



1 MOMENT!

Nazywany jest Pan poeta-poliglota.

Tutaj, jak ktoś nie mówi po francusku, to zaraz jest poliglota
Moja płyta jest płytą multikulturową, ale nie folklorystyczną. Ja
nie lubię folkloru.

Jak liczny jest Pana zespół muzyczny?

Zwykle gramy w sześć osób. Jest to kontrabas, pianino, akordeon, klarnet, skrzypce, instrumenty perkusyjne i perkusja oraz gitara.

Czy spotkał się Pan z problemem w wypowiedzeniu nazwy zespołu?

Z punktu widzenia marketingowego, to na pewno nie było dobre. Młodzi ludzie często mówią w skrócie „raz”.

A skąd wzięła się ta nazwa?

Bo urodziłem się drugi raz. I po polsku śpiewamy, sto lat, sto lat, jeszcze raz. I te słowa same do mnie przyszły. Nie myślałem wtedy, że wydam płytę.

Czy wszystkie Pana płyty odzwierciedlają Pana życiowy bałagan, jak to sam Pan sformułował?

Na pewno tak. Moje życie to taki wielki bałagan i cały czas mnie zaskakuje.

Fotografie pochodzą ze strony:

Achilles i Hektor



Achilles i Hektor

Zdzisław Najder

Najstarsze w naszym kręgu kulturowym przykłady zachowań, które gotowi jesteśmy nazywać „rycerskimi”, znajdujemy w klasycznej literaturze greckiej. Przede wszystkim w *Iliadzie* Homera (VIII w. przed Chrystusem), ale również w pismach historyków i filozofów, zwłaszcza Arystotelesa (nauczyciela Aleksandra Wielkiego). W *Iliadzie* na planie pierwszym widzimy dwóch herosów: Greka Achillesa i Trojańczyka Hektora.

Przed Achillesem stanął wybór: czy życie długie, spokojne, pełne zwyczajnych przyjemności – czy krótkie, wypełnione wielkimi czynami i uwieńczone sławą. Obozujący pod obleganą Troją bohater mówi:

Nie ma stąd dla mnie powrotu – lecz sławę wieczną uzyskam.

Jeśli do domu powrócę, do mojej ziemi kochanej,

Sławy nie zyskam, lecz w zamian życie szczęśliwe i długie

Los mi przeznaczy.

Podjęta przez Achillesa decyzja walki pod murami Troi stała się na zawsze symbolem pragnienia wielkości i chwały. Wybór Achillesa jest krokiem ku śmierci, a jednocześnie okazaniem jej pogardy.

Pierwsze słowa *Iliady* zapowiadają opowieść o „gniewie” Achillesa. Król Sparty Agamemnon, wódz oblegających Troję Greków, odebrał Achillesowi brankę Bryzeidę, przyznaną mu w uznaniu jego wspaniałych czynów. Achilles przyjmuje to nie tylko jako osobistą zniewagę, ale jako zaprzeczenie etycznego ładu. Duma, którą się unosi, nie jest wyrazem pychy, ale obroną zasad. Jest to „słuszna duma”, ważny ideał antycznej Grecji. Półboskie pochodzenie Achillesa, siła, piękno, odwaga, sama ochotnicza obecność pod Troją i poniesione zasługi – wszystko to razem czyni go w pełni godnym okazywania mu czci. Gdyby się czci nie domagał, okazałby tym samym, że na nią nie zasługuje; więcej – że nie dba o zasady zdobywania czci i jej potwierdzania. Nagroda jest jak stopień generalski; kto ją odbiera – chce zdegradować zasłużonego. W końcu Agamemnon musi przyznać Achillesowi słusność.

Hektor, syn króla Troi Priama, jest w poemacie postacią bardziej jednoznaczną niż liczni greccy bohaterowie. Nie jest najeźdźcą, walczy w obronie ojczystego miasta. Oto przykład wspaniałej bezstronności Homera, który jest przecież „Achajem”, czyli Grekiem. Hektor wie, że rzucający mu wyzwanie Achilles jest nie do pokonania. Wie, co to strach: ogarnięty lękiem, ucieka przed Achillesem wokół murów miasta. Ale ma też świadomość, że czynna obrona jest jego moralnym obowiązkiem. Bohatersko staje do walki i ginie, pierwszy wzór wszystkich obrońców spraw przegranych.

Obaj herosi znają wróżby, opisujące ich przyszłość. I powiedziano im, że o ludzkich losach ostatecznie decydują bogowie. Ale jednocześnie zachowują się tak, jak gdyby wszystko, co robią, zależało od ich własnej woli. Mają świadomość swobody wyboru. Homer pisze o nich tak, jak gdyby znał dziewiętnastowieczne wywody deterministów, zaprzeczających istnieniu wolnej woli: wszystko w ręku bogów. Ale zarazem pokazuje swoich bohaterów jako ludzi w pełni odpowiedzialnych za własne czyny.

Oto istota greckiego widzenia świata, tragicznego i heroicznego zarazem: wiemy, że wszystkich nas nieuchronnie czeka śmierć – ale własnemu życiu, póki trwa, sami możemy nadawać sens. Przynajmniej wtedy, kiedy jesteśmy herosami, to znaczy, jak w polskim zwrocie, „kowalami własnego losu”. Tylko tyle i aż tyle.

Inne artykuły Zdzisława Najdera na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/ojczyzna/>

<http://www.cultureave.com/honor-i-ojczyzna/>

<http://www.cultureave.com/trwac-przy-zasadach/>

<http://www.cultureave.com/ksiaze-tulacz/>

<http://www.cultureave.com/pulkownik-jozef-beck/>

Druga edycja Konkursu im. Ignacego Jana Paderewskiego w Galerii Roi Doré

w Paryżu



**« AU SERVICE DE L'ART
ET DE LA PATRIE »**

EXPOSITION DES FINALISTES DE LA
2^{ème} ÉDITION
DU CONCOURS EN HOMMAGE
À IGNACY JAN PADEREWSKI
(1860-1941)

EXPOSITION DU 29 JUIN AU 19 JUILLET 2018
VERNISSAGE LE JEUDI 28 JUIN À 18H
DANS LE CADRE DES CÉLÉBRATIONS DU CENTENAIRE
DU RETOUR À L'INDÉPENDANCE DE LA POLOGNE

arcsadepa

GALERIE ROI DORÉ - 6, rue Sainte Anastase - 75003 Paris - 01 42 78 54 42
galerie@roidore.com - www.roidore.com
du mardi au vendredi de 12h00 à 19h00, le samedi de 13h00 à 20h00

MODERN
ARTS
CENTRE
OF
PARIS

MODERN
ARTS
CENTRE
OF
PARIS

ART
MUSEUM

OX

POLE
UNIVERSITY
OF
WORLD
ART
STUDIES

R

Wystawa od 29 czerwca do 19 lipca 2018 r. Wernisaż wystawy 28 czerwca 2018 r. o godz. 18.00.

W związku z sukcesem *I edycji Konkursu im. Ignacego Jana Paderewskiego „W służbie sztuce i ojczyźnie”*, która odbyła się w 2016 r., Galeria Roi Doré oraz platforma Art-maniac zorganizowały II edycję tego wydarzenia. Zaprezentowane dzieła są inspirowane życiem i twórczością Ignacego Jana Paderewskiego (1860-1941), polskiego kompozytora i pianisty światowej sławy oraz męża stanu, premiera i ministra spraw zagranicznych w 1919 r., delegata pełnomocnego rządu polskiego na konferencji pokojowej w Paryżu, zwieńczonej podpisaniem Traktatu wersalskiego, kończącego pierwszą wojnę światową oraz wysłannika rządu polskiego do Ligi Narodów, odznaczonego m.in. Orderem Orła Białego, francuskim Krzyżem Wielkim Legii Honorowej oraz tytułem Rycerza Wielkiego Krzyża Orderu Imperium Brytyjskiego. **Konkurs jest realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości przez Polskę.**

Konkurs im. Ignacego Jana Paderewskiego „W służbie sztuce i ojczyźnie” wpisuje się w długą tradycję związków sztuk plastycznych z muzyką, ale także z historią, a nawet z zaangażowaniem politycznym w służbie ojczyźnie w potrzebie. Te popularne w historii sztuki tematy podejmowane są tu na nowo przez artystów wywodzących z różnych krajów i pokoleń,

posługujących się bardzo odmiennymi technikami.

Na wystawie zaprezentowane zostaną dzieła następujących artystów, zakwalifikowanych do finału (w porządku alfabetycznym): Piotr BETLEJ, Piotr CIEŚLEWICZ, Richard D'ALIGHIERI, Maryla GISZCZAK, Jolanta GROCHOLSKA-JANCZARA, Ronnie HABIB, Tomasz JĘDRZEJEWSKI, Agnieszka KASTELIK, Tomek KAWIAK, Jerzy KĘDZIORA, Vaiva KOVIERAITE, Michele LANDEL, Patrick LE BORGNE, Sylwia LIS PERSONA, Anna MACIEJEWSKA, Ivan MALINSKYY, Serge MARGARITA, Evelyne MICHEL, Edyta ROLA MARCINOWSKA, Paweł RUBASZEWSKI, Andrzej SOCHA, Paweł SZUMIGAŁA, Katarzyna TOMASZEWSKA, Przemysław TOMCZAK, Maciej TRYBUŚ, Marzena URYSZEK, Fabien YVON, Czesław ZUBER.

Wystawa prac Zdzisława Beksńskiego w Galerii Roi Doré w Paryżu:

<http://www.cultureave.com/wystawa-beksinski-in-hoc--signo-vinces-w-paryzu/>

Hiszpańscy akademyści i poeci: Dámaso Alonso (1898-1990)



Dámaso Alonso

Florian Śmieja

Na mojej półce stoją przerzedzane stopniowo książki hiszpańskie. Jedną z nich jest tom wierszy “Hijos de la ira” w wydaniu argentyńskiej firmy Austral. Nosi on miłą hiszpańską dedykację wykaligrafowaną atramentem:

Dla Floriana Śmieji, dzielnego Polaka pod londyńskim niebem z żywą sympatią Dámaso Alonso, Londyn 13 stycznia 1960.

Nagle pamięć podpowiada szczegóły. Pewnego dnia w niepozornym człowieku siedzącym przy pulpicie w okrągłej sali

czytelni dawnego *British Museum* rozpoznałem znamienitego akademika i prezydenta Królewskiej Akademii Hiszpańskiej. Byłem pewnie na jego odczycie kilka dni wcześniej w *King's College* albo w Instytucie Hiszpańskim. Podszedłem do niego z tomikiem jego głośnych już wtedy poezji i poprosiłem o autograf.

Przeląkł się nieco zaskoczony faktem, że go rozpoznałem. Były to czasy, kiedy gen. Franco siedział jeszcze mocno w siodle, a wyjeżdżający za granicę Hiszpanie czuli się nadal śledzeni i zachowywali dyskretną ostrożność.

Padał deszcz i było zimno. Zaproponowałem mu, że go odprowadzę do radia BBC, na co się chętnie zgodził. Zanim mi wpisał dedykację, pedantycznie poprawił dwa błędy drukarskie książki klarując przy tym właściwości gramatyki hiszpańskiej. Zauważył też, pamiętam, że niemiecki tłumacz źle przełożył tytuł „Hijos de la ira” jako „Söhne des Zorns” zamiast „Kinder”. Słowo hiszpańskie „hijos” znaczy zarówno „synowie” jak „dzieci”. Wniosek: nigdy nie zawadzi skontaktować się z autorem.

Alonso był nie tylko słynnym profesorem literatury i znakomitym jej historykiem, ale także respektowanym poetą. Na znanej fotografii grupy poetów tzw. Pokolenia 1927, w sali Ateneum w Sewilli, obok m.in. Garcia Lorki, Rafaela Albertiego i Jorge Guillena widnieje Dámaso Alonso, a współcześni zapewniali, że

bardzo się Dámaso z Federikiem lubili.

Wybrałem z "Dzieci gniewu" do tłumaczenia dwa krótkie wiersze „Bezsenna” i „De profundis” oraz długi tekst, który wraz z artykułikiem o autorze wydrukowałem pod tytułem „Kobieta z bańką na oliwę” jeszcze w 1960 roku w „Tygodniku Powszechnym”, a następnego roku „De profundis” w „Więzi”.

Dámaso Alonso z racji piastowanego urzędu i zawodowej reputacji polecał dobrze zapowiadających się młodych naukowców i twórców hiszpańskich na zagraniczne pozycje pedagogiczne. Kiedy przeniosłem się z *London School of Economics* do *Nottingham*, do naszej katedry hiszpańskiego przyjechał na paroletni staż jego rekomendowany lektor, Claudio Rodriguez z Zamory (1934-1999). Młody, przystojny poeta był już wtedy autorem cenionych wierszy, które kazały na niego zwrócić uwagę. Jeszcze w 1966 roku wydrukowałem przekłady dwu jego tekstów w „Więzi”, a trzy dalsze w „Literaturze na Świecie” w 1975 roku, kiedy już byłem w Kanadzie. Rodriguez korzystając z pobytu w Nottingham, a potem w Cambridge poznał gruntownie i polubił poezję Dylana Thomasa. Wróciwszy do ojczyzny cieszył się wielkim uznaniem a jego poezje przyniosły mu bodaj wszystkie nagrody i wyróżnienia, jakie w jego ojczyźnie stały do dyspozycji, łącznie z fotelem Gerarda Diego w Królewskiej Akademii.

Znalazłszy się na uniwersytecie w Kanadzie spotkałem w zakładzie poetę i prozaika Jesusa Lópeza Pacheco (1930-1997), którego republikańskie przekonania i polityczne zaangażowanie wygnały na emigrację. Jego socrealistyczna proza znalazła uznanie w Moskwie, a wiersze również były na usługach anty frankistowskiego resentymentu.

Przełożyłem kilka jego zaangażowanych wierszy bacząc, by wybrać takie utwory, które miały mało klarownego adresata. Niemало się Jesús zdumiał, gdy wybrałem wiersz anty-generalski, a przełożywszy go, wydrukowałem w Polsce. Autor nie domyślił się, że tymczasem Polacy dorobili się również swojego niedobrego generała i że ataki jego wiersza pasowały do niego jak ulał, świadcząc bezwiednie o wielostronnej użyteczności odpowiednio zastosowanej poezji

W Londynie łatwo nawiązywaliśmy kontakty z hiszpańskimi literatami, często wykładowcami uniwersyteckimi. Przyjeżdżali oni na zaproszenie iberystów brytyjskich i dawali wykłady, czytania lub brali udział w zjazdach naukowych. Oni z kolei mówili nam o tzw *tertulias*, regularnych spotkaniach grup profesjonalistów w miastach hiszpańskich. Nas interesował głównie Madryt. Tam w kawiarni „Gijón” zbierali się literaci, zaś w „Café Lyón”, naprzeciw głównej poczty, a niedaleko Biblioteki Narodowej, profesorowie i bibliotekarze. Każdego roboczego dnia między 2 a 4 na *sjestę* spotykali się przy kawie, kieliszku

wina czy koniaku na pogawędkę.

Mając takie zaproszenie w kieszeni młody uczony przyjeżdżał do stolicy Hiszpanii, zachodził do „Café Lyón” i przedstawiając się, był gorąco witany przez grono znakomitości, które okazywały się nie tylko wybornymi kompanami do wypitki i gawędy, ale pierwszorzędnymi znawcami przedmiotu, w moim wypadku, literatury hiszpańskiego Złotego Wieku. Potrafili w mig rozstrzygnąć wiele kwestii naukowych, informując nowo przybyłego precyzyjnie o najlepszych strategiach szukania i zdobywania potrzebnych wiadomości.

Przez wiele lat takim duchem sprawczym *tertulii* profesorów był don Antonio Moñino, były dyrektor Biblioteki Narodowej, wielki erudyta i bibliofil. Kiedy poszukiwałem rzadkiej książki szesnastowiecznego konceptysty, radził mi pojechać do Segowii. Tam kilkanaście lat wcześniej w bibliotece katedralnej na piętrze, w pewnym pokoju i drugiej szafie na takiej a takiej półce widział potrzebny mi egzemplarz książki. Były to czasy przed komputerowe, biblioteki rozporządzały niekompletnymi katalogami kartkowymi, a bibliotekarze byli kapryśni, w Hiszpanii mało zdyscyplinowani i potrzebowali bodźców. Pojechałem do Segowii i znalazłem książkę dokładnie tam, gdzie ją zapamiętał don Antonio. Kiedy indziej szukałem bez powodzenia żywota pewnego Świętego wydanego w 1613 roku. Kiedy o tym opowiedziałem gronu biesiadników, nazajutrz

otrzymałem egzemplarz. Przyniósł go w kieszeni don Antonio, pozwolił zabrać do hotelu, przepisać potrzebne dane (nie było wtedy ksero) i zwrócić przy okazji.

W lecie, które w Madrycie jest uciążliwe, *tertulia* profesorów przenosi się nad morze do Santander. Daje to dodatkową okazję, by ożywić znajdujący się w tym mieście uniwersytet letni, do którego przyjeżdżają studenci z całego świata. Korzystają oni ponadto ze słynnej biblioteki założonej przez legendarnego erudyte Marcelina Menéndez y Pelayo. Po dziś dzień żyje jego mit i opowiadają, jak zwykł był on z książką w ręku zasiadać na otwartym piętrze tramwaju i jeździć nim w kółko nie molestowany przez obsługę i współpasażerów.

W takiej atmosferze poznałem dyrektora szkoły studiów arabskich w Granadzie Emilio García Gómeza, z którego tłumaczenia średniowiecznych arabskich tekstów poetyckich z Andaluzji korzystałem, przekładając na polski kilkadziesiąt poezji arabsko-andaluzyjskich. Pisemne pozwolenie przysłał mi pocztą z Bagdadu, bo wtedy już sprawował funkcję hiszpańskiego ambasadora w Iraku.

Z jego nazwiskiem kojarzy mi się zabawna historia. Kiedy raz z poetą Józefem Łobodowskim poszliśmy w Madrycie na lampkę wina do tawerny znajdującej się w pobliżu jego miejsca zamieszkania, dyskutowaliśmy zażarcie o poezji arabsko-

andaluzyjskiej. Wtedy podszedł do naszego stołu *limpiabotas* czyli pucybut, a uzyskawszy nasze przyzwolenie, zabrał się do glansowania naszych butów. Nie przerywaliśmy rozmowy i raz po raz w naszej polskiej konwersacji padało nazwisko Emilio García Gómez. Wtedy czyścibut spoglądał na nas ze szczególną uwagą, a my kontynuowaliśmy nasze wywody. Jeszcze kilka razy wymieniliśmy nazwisko Gómeza, a za każdym razem nasz czyścibut podnosił na nas wzrok. W końcu odezwał się niespodziewanie:

Czego panowie chcecie od Emilia Garcii Gómeza? Ja się nazywam Emilio García Gómez.

Swoją drogą te podwójne hiszpańskie nazwiska są utrapieniem dla cudzoziemców, w tym również Polaków. Weźmy dla przykładu choćby często w ubiegłym wieku wymieniane nazwisko poety, który po hiszpańsku znany jest jako Federico García Lorca. A jak to nazwisko brzmi w dopełniaczu? Podobnie rzecz się ma z najpłodniejszym pisarzem hiszpańskim, którym był Lope de Vega Carpio. Nasi kuratorzy gramatyki nie spieszą się z werdyktem, jak takie nazwiska odmieniać po polsku pozostawiają nam decyzję, tak że musimy sobie radzić, jak umiemy.

Wśród bibelotów zachowałem także kilka wizytówek. Jedna jest hiszpańska z trzema różnymi nazwiskami osób, które tym

niemniej stanowią jedną rodzinę. Tam już trzeba pewnych objaśnień. Po pierwsze wizytówka ma czarną obwódkę, jest więc wizytówką wdowy. Obok jej wydrukowanego imienia i nazwiska wykaligrafowano dwa dodatkowe nazwiska: syna i jego ojczyma. Kartonik stał się więc wizytówką rodzinną, którą mi wręczono podczas spotkania w Londynie.

Zanim podam nazwiska, opowiem całą historię. W sekretariacie Szkoły Nauk Słowiańskich i Wschodnioeuropejskich, gdzie byłem zatrudniony pół wieku temu, pracowała Lolita Raczyńska. Pewnego dnia posłała mi karteczkę. Miała dla mnie studenta Hiszpana, który chciał się uczyć prywatnie języka polskiego przy pomocy hiszpańskiego. Ponieważ znałem hiszpański, a uczyłem polskiego, odpowiadałem zapotrzebowaniu. Kiedy przeczytałem nazwisko kandydata: księżę Adam Czartoryski, w pierwszym momencie pomyślałem, że padłem ofiarą żartu. Okazało się, że nie. Zjawił się dobrze ułożony szatyn wyglądający jak typowy sewillczyk zwący się po hiszpańsku Príncipe Adán Czartoryski. Zanim mogłem dawać mu lekcje, musiałem poznać rodziców: matkę i ojczyma. Wtedy dostałem wizytówkę z nazwiskami: Dolores de Borbón y Orleans, Carlos Chias Ossorio i P. Adán Czartoryski. Jego ojciec, Stanisław, już nie żył.

Były to czasy, kiedy gen. Franco miał się jeszcze dobrze, ale już przewidująco przysposabiał Juana Carlosa na przyszłego króla Hiszpanii. Pewnie, żeby uatrakcyjnić mojemu uczniowi niełatwy

przedmiot, jakim był język polski, żartowałem, że jak jego kuzyn zostanie monarchą, to pewnie go wyśle do Warszawy jako ambasadora. I rzeczywiście kuzyn został królem.

Artykuł powiązany:

<http://www.cultureave.com/wschod-ogladany-przez-pejzaz--andaluzyjski-o-kasydach-i-gazelach-jozefa-lobodowskiego/>

Emisariuszka Elżbieta Zawacka (1909 – 2009)



Elżbieta Zawacka, fot. materiały prasowe.

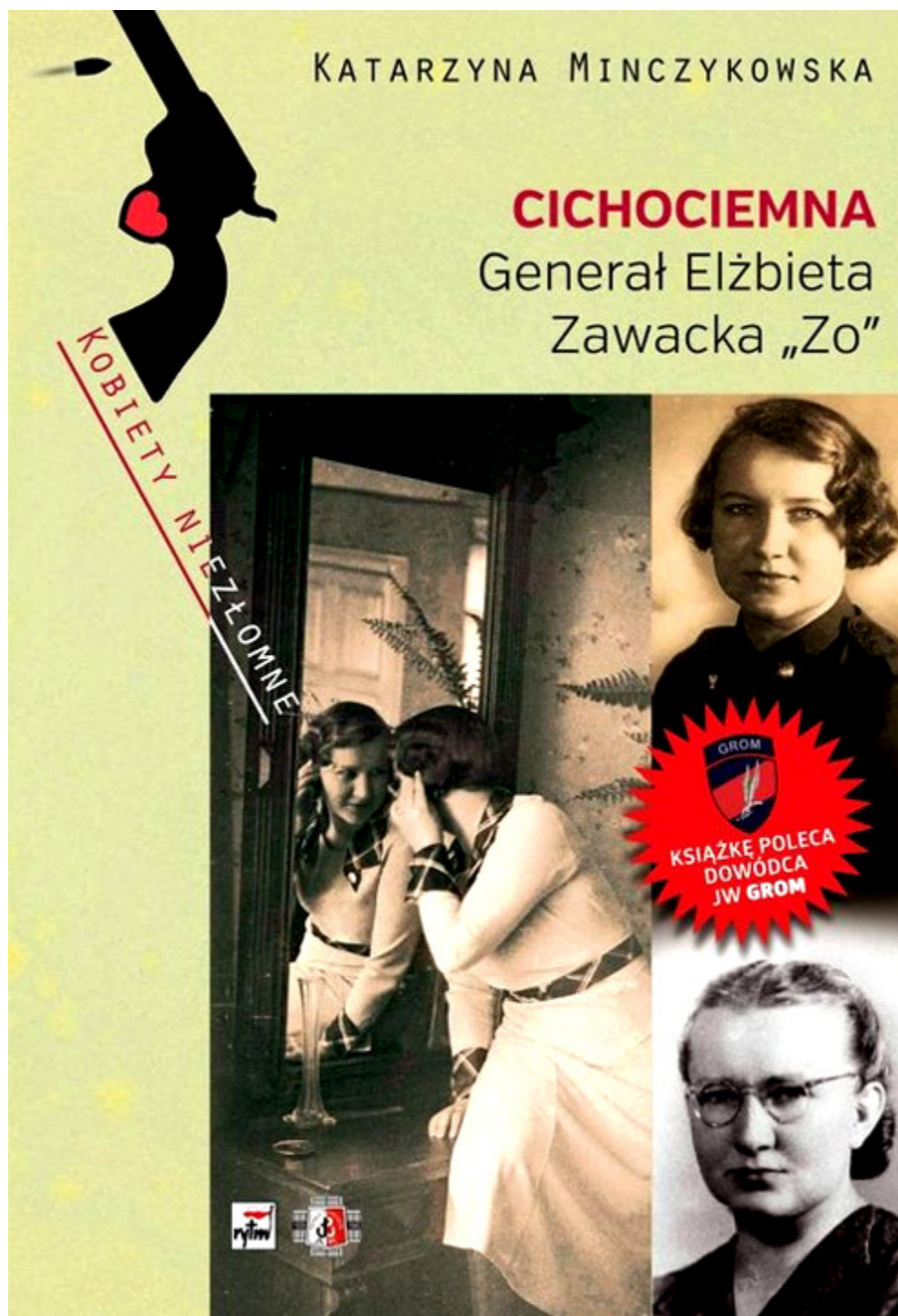
Elżbieta Zawacka to niezwykła postać. Jedyna kobieta wśród cichociemnych, druga w historii Wojska Polskiego kobieta generał, kurier i emisariuszka Armii Krajowej, uczestniczka Powstania Warszawskiego, a do tego matematyk i profesor nauk humanistycznych specjalizującą się w historii najnowszej.

Jan Nowak-Jeziorański napisał o niej w „Kurierze z Warszawy”:

Nawet w konspiracji, gdzie panuje anonimowość, „Zo” stała się postacią legendarną. (...) straciła rodzinę. Uchodziła za człowieka ostrego i wymagającego od innych, ale najbardziej od samej siebie. Jej oddanie służbie graniczyło z

fanatyzmem. (...) Średniego wzrostu, blondynka o niebieskich oczach miała w sobie coś męskiego. Była surowa, poważna, trochę szorstka i bardzo rzeczowa. W czasie rozmowy ani razu nie uśmiechnęła się, nie padło ani jedno słowo natury bardziej osobistej, nic co nie wiązało się ze służbowym tematem. „Zo” nie miała na to czasu. Dopiero na pożegnanie poczułem ciepły, mocny uścisk dłoni i usłyszałem lekkie westchnienie: Daj Boże, żebyście dotarli.

W 2014 roku w wydawnictwie Rytm ukazała się książka Katarzyny Minczykowskiej „Cichociemna Generał Elżbieta Zawacka Zo„. Od tej pory autorka opowiada o tej niezwyklej postaci. 17 kwietnia 2018 r. w Polskiej Akademii Nauk w Wiedniu miał miejsce wykład dr Katarzyny Minczykowskiej oraz wystawa poświęcona Elżbiecie Zawackiej.



Elżbieta Zawacka urodziła się 19 marca 1909 r. w Toruniu, zmarła 10 stycznia 2009 r. tamże. Przyszła na świat w czasie, gdy Toruń znajdował się pod zaborem pruskim, jednak szkołę podstawową i gimnazjum kończyła już w wolnej Polsce. Maturę zdała w Żeńskim Gimnazjum Humanistycznym, a następnie

skończyła studia matematyczne na Uniwersytecie Poznańskim. Po studiach podjęła pracę jako nauczycielka w szkole średniej i udzielała się społecznie jako instruktor Przysposobienia Wojskowego Kobiet (PWK).

We wrześniu 1939 r. była żołnierzem Kobiecego Batalionu Pomocniczej Służby Wojskowej, walczącym w obronie Lwowa. Pod koniec 1940 roku przeniesiono ją do Warszawy – dostała przydział do Wydziału Łączności Zagranicznej Komendy Głównej Armii Krajowej *Zagroda*. Od połowy 1941 r. jeździła między Warszawą a Berlinem, przewożąc w obie strony pocztę, która kursowała przez Szwecję do Londynu i z powrotem. Jej zadaniem było też zorganizowanie szlaków kurierów podążających do Londynu przez Niemcy. W latach 1939–1945, korzystając z fałszywych dokumentów, przekraczała granicę Rzeszy setki razy (przy setnym, w 1942, przestała liczyć), przenosząc raporty, meldunki i informacje, zaś w przerwach między wyprawami uczyła i była uczona na tajnych kompletach. Używała pseudonimów „Zelma”, „Sulica”, „Zo”.

W lutym 1943 roku wyruszyła jako emisariuszka Komendanta Głównego AK Stefana Roweckiego przez Niemcy, Francję, Andorę, Hiszpanię i Gibraltar do Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie. Jej misja miała dwa cele: poprawę łączności między Sztabem Naczelnego Wodza w Londynie a KG AK w Warszawie oraz przedstawienie żądań gen. Roweckiego na temat regulacji

prawnych dotyczących sytuacji kobiet w Wojsku Polskim. Z Londynu powróciła 9/10 września 1943 zrzucona ze spadochronem w ramach akcji „Neon 4” na placówkę „Solnica” pomiędzy zabudowaniami majątku we wsi Osowiec a folwarkiem we wsi Chawłowo (zrzut przyjęty we wsi Wólka Brzozokalska obecnie Adamów Wieś, koło Grodziska Mazowieckiego w zabudowaniach Jana Siwca. Dowódca kpt. naw. Stanisław Król Ekipa XXIX wraz z por. Bolesławem Polończykiem „Kryształ” i ppor. Fryderykiem Serafińskim „Drabina”).



Elżbieta Zawacka, fot. z książki Katarzyny Minczykowskiej „Cichociemna. Generał Elżbieta Zawacka Zo”.

W marcu 1944, gdy Zo groziło aresztowanie, wycofano ją z działalności kurierskiej i przeniesiono do służby w dowództwie Wojskowej Służby Kobiet (WSK). Działając w WSK, brała udział w Powstaniu Warszawskim, a po kapitulacji przedostała się do Krakowa, gdzie odbudowywała zerwaną łączność ze Sztabem Naczelnego Wodza. Zdemobilizowana w lutym 1945 r. dalej pracowała w konspiracji: najpierw w Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj, następnie w Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość. Z działalności antykomunistycznej zrezygnowała w 1946 r., podejmując pracę w Państwowym Urzędzie Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego przy Ministerstwie Obrony Narodowej, z której – ze względów politycznych – musiała zrezygnować w 1948 r.

W latach 1948–1951 pracowała jako nauczycielka w Łodzi, Toruniu i Olsztynie. 5 września 1951 została aresztowana przez MBP (Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego) i po procesie skazana na 10 lat pozbawienia wolności. Na wolność wyszła 24 lutego 1955.

W 2005 r. powstał film dokumentalny o Elżbiecie Zawackiej pt. „Miałam szczęśliwe życie” według scenariusza i w reżyserii Marka Widarskiego.

Wróciła do pracy w szkolnictwie, ucząc w szkołach w Sierpcu i Toruniu. W 1965 r. na UMK w Toruniu obroniła doktorat

(promotor: prof. Ludwik Bandura) i podjęła pracę na stanowisku adiunkta Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Gdańsku (od 1972 r. Uniwersytet Gdański). W 1973 r. w Wykowie (obecnie: Uniwersytet Pedagogiczny) uzyskała tytuł doktora habilitowanego. Nie mając szans na utworzenie własnego zakładu andragogiki w Gdańsku (o czym marzyła), w 1975 r. przyjęła propozycję UMK stworzenia nowo powstającym Instytucie Pedagogiki i Psychologii. W 1976 r. wyjechała w celach naukowych do Londynu, po powrocie spotkały ją liczne szykany i represje tak ze strony SB, jak i władz Instytutu, w którym pracowała. Przeszła dwa zawały serca oraz długą rekonwalescencję, a w 1978 r. została zmuszona do odejścia na emeryturę. Do badań z zakresu nauk pedagogicznych nigdy nie powróciła.

Jeszcze w latach sześćdziesiątych Elżbieta Zawacka zajęła się gromadzeniem materiałów historycznych, dokumentujących działalność Armii Krajowej w czasie wojny jako emerytka powróciła do tej pracy. Działała w ruchu kombatanckim „Solidarności”, w 1986 współorganizowała w Toruniu Klub Historyczny przy toruńskim oddziale Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego (działający następnie jako Klub Historyczny im. Antoniego Antczaka). Dzięki jej zaangażowaniu grono kilku osób w Toruniu zainicjowało, w końcu 1988 r., powstanie ogólnopolskiego stowarzyszenia byłych żołnierzy Armii Krajowej (obecnie Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej). W

pierwszym zarządzie głównym tej organizacji, który kładł podwaliny pod jej dalszy rozwój, pełniła funkcję wiceprezesa Zarządu Głównego. W 1990 zainicjowała utworzenie Fundacji „Archiwum Pomorskie Armii Krajowej” – była jej pierwszym prezesem, a po latach honorowym przewodniczącym Rady. Klub Historyczny im. Antoniego Antczaka był integralną częścią założonej przez Zawacką Fundacji i funkcjonował do początku XXI w.

W 1989 została laureatką Medalu Stolema – wyróżnienia przyznawanego w Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim osobom, które w szczególny sposób przyczyniły się do pomnożenia dorobku i osiągnięć kultury i Pomorza lub do ich spopularyzowania. W 1990 została odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, a w 1993 Krzyżem Komandorskim tego orderu z gwiazdą. Od 1996 była profesorem nauk humanistycznych. W 1993 r. Rada Miasta Torunia przyznała jej tytuł Honorowego Obywatela tego miasta, w 2008 r. została Honorowym Obywatelom Piastowa.

3 maja 2006 roku na wniosek warszawskich środowisk kombatanckich Prezydent RP Lech Kaczyński awansował ją do stopnia generała brygady. Została wówczas drugą kobietą-generałem w historii Wojska Polskiego.

W 1990 roku z jej inicjatywy powstała Fundacja Archiwum i

Muzeum Pomorskie AK oraz Wojskowej Służbie Polek w Toruniu, obecnie Fundacja Generał Elżbiety Zawackiej.

<http://www.zawacka.pl/>

(źródło biografii Elżbiety Zawackiej: Wikipedia)

Na podstawie książki Katarzyny Minczykowskiej powstaje film fabularny o Elżbiecie Zawackiej. Reżyserem zwiastuna filmowego jest Bartłomiej Żmuda. W rolę tytułowej bohaterki wcieliła się Katarzyna Bujakiewicz.

Zawsze staję po stronie

kompozytora

Krzysztof Urbański, jeden z najwybitniejszych dyrygentów młodego pokolenia, jest Dyrektorem Muzycznym Indianapolis Symphony Orchestra oraz Pierwszym Gościennym Dyrygentem NDR Elbphilharmonie Orchester w Hamburgu. W 2007 r. ukończył z wyróżnieniem studia w Akademii Muzycznej w Warszawie u profesora Antoniego Wita. Jest laureatem kilku prestiżowych konkursów dyrygenckich. W listopadzie 2018 r. będzie pełnił funkcję gospodarza festiwalu z polską muzyką „My polish heart”, organizowanego z okazji Stulecia Odzyskania przez Polskę Niepodległości przez NDR Elbphilharmonie Orchester.



Krzysztof Urbański, fot. Marco Borggreveall.

Jolanta Łada-Zielke:

Stara się pan interpretować utwory w oparciu o biografie twórców, biorąc pod uwagę wydarzenia towarzyszące ich powstaniu. Czy zawsze udaje się przekonać do tego orkiestrę?

Krzysztof Urbański:

Moje podejście do muzyki zależy od tego, jakim utworem dyryguję. Jeśli to arcydzieło, zależy mi na tym, żeby „odstawić” swoje *ego* na bok i nie próbować realizować siebie przez pryzmat tego utworu, tylko pokazać go najprościej, jak tylko potrafię.

Moja interpretacja jest jak najbliższa wizji kompozytora. Dlatego badam dokładnie jego życiorys. Chętnie studiuję manuskrypty, jeśli mam do nich dostęp. Chcę poznać utwór w jak najbardziej pierwotnej formie, bo przy kolejnych edycjach wydawcy wprowadzają zmiany. Tymczasem rękopis kompozytora zawiera dużo więcej informacji. Można zobaczyć, co zmieniał i poprawiał w trakcie pisania. Studiowanie manuskryptu to także przejaw szacunku wobec twórcy, bo przecież nie jest łatwo stworzyć wartościową kompozycję (wiem o tym z własnego doświadczenia). Poza tym wiele znanych i popularnych utworów obrasta w swego rodzaju tradycję wykonawczą. Często wykonuje się je w pewien określony sposób, choć w manuskrypcie lub materiałach orkiestrowych wyraźnie widać, że nie było to intencją kompozytora. Wtedy dylemat polega na tym, czy poprowadzić utwór tak, jak to robi większość, czy przełamać tradycję i spełnić życzenie kompozytora. Ja biorę najczęściej jego stronę, co prawdopodobnie nie przysparza mi przyjaciół. Proszę sobie wyobrazić orkiestrę, która wykonuje dany utwór w ten sam sposób od stu lat. I nagle przychodzi młody dyrygent, który mówi, że trzeba go zagrać zupełnie inaczej.

W jaki sposób dociera pan do manuskryptów?

Dużo materiałów źródłowych, głównie faksymiliów, znajduje się w Internecie. Ostatnio nagrywaliśmy z Orkiestrą NDR w Elbphilharmonie w Hamburgu V Symfonię Dymitra

Szostakowicza, której oryginalny zapis zaginął. Ale udało mi się dotrzeć do wydawcy (Sikorski), który przekazał mi wszystkie posiadane materiały. Mogłem więc nie tylko zapoznać się z najnowszą edycją, czyli z oficjalnie obowiązującym sposobem wykonania, ale również zobaczyć wszystkie stare wydania z czasów sowieckich, również te publikacje, które ukazały się jako pierwsze, a wśród nich autoryzowane przez samego Szostakowicza.

Czy w przypadku Szostakowicza kluczem do interpretacji są jego przeżycia z okresu stalinizmu?

Zdecydowanie tak, choć to zależy od utworu. W przypadku Szostakowicza problem ten jest jednak bardziej złożony, tworzył on bowiem również na zamówienie polityczne, w celach propagandowych, a utwory takie pozbawione są często głębi. Inna, o wiele większa część jego dorobku obejmuje dzieła, które obrazują jego wewnętrzne, najbardziej intymne przeżycia. Miał niezwykłą ciekawość świata, a jednocześnie był bardzo zamknięty w sobie. Trudno się dziwić, bo żył w nieludzkim świecie, gdzie za mówienie prawdy groziła śmierć. Życie w stanie ciągłego zagrożenia nie zagłuszyło w nim potrzeby twórczej, a muzyka stała się jedynym sposobem na wyrażenie uczuć, myśli, pokazanie swojej wizji świata. Fenomen wielu jego utworów polega na tym, że składają się z dwóch warstw: oficjalnej, propagandowej, nadającej utworowi wydźwięk

socrealistyczny, przemawiający do klasy pracującej, oraz tej drugiej, głębszej, osobistej. Najlepszym przykładem jest tu VII Symfonia, napisana w czasie wojny, która była przedstawiana przez władze sowieckie jako *stricte* antyfaszystowska i antyniemiecka. Ja natomiast dostrzegam w niej sporo osobistych przemyśleń odnośnie wojny w ogóle i bezradności jednostki wobec jej okrucieństwa. Fascynujące jest szukanie w muzyce Szostakowicza drugiej warstwy, z której istnienia nie wszyscy zdają sobie sprawę.

W maju 2018 wziął pan udział w Festiwalu Muzycznym w Elbphilharmonie, dyrygując koncertem, którego program obejmował „Planety” Gustawa Holsta i muzykę z filmu „Gwiezdne wojny”. Czy to celowe połączenie dwóch utworów o tematyce, upraszczając, „kosmicznej”?

Jest kilka powodów, dla których umieściłem te utwory obok siebie. Pierwszy jest bardzo osobisty. W wieku 12-13 lat usłyszałem muzykę do „Gwiezdných Wojen” i zakochałem się w niej, a dopiero później obejrzałem filmy. Po obejrzeniu zadałem sobie chyba pierwsze inteligentne pytanie w moim życiu; dlaczego na początku pojawia się napis *a long time ago in a galaxy far, far away...* (dawno temu w odległej galaktyce)? Skoro to jest film *science-fiction*, jego akcja powinna toczyć się w przyszłości, a nie w przeszłości. To skłoniło mnie do zainteresowania się astronomią, kosmologią i filozofią, które są

po muzyce moją największą pasją. Myślę, że „Gwiezdne wojny” są tak naprawdę dziełem symbolicznym. Wszystkie występujące tam postacie reprezentują klasyczne typy charakterów, nawet roboty mają własną osobowość. George Lucas stworzył niezwykły świat, w którym toczy się walka dobra ze złem, choć nie do końca wiadomo, gdzie kończy się dobro a zaczyna zło. To zupełnie jak u Nietzsche’go. „Gwiezdne wojny” miały wpływ na rozbudzenie mojej ciekawości wobec filozofii i świata. A muzykę Johna Williamsa ciągle uwielbiam.

Zestawiłem „Gwiezdne wojny” z „Planetami”, ponieważ słuchając utworu Holsta, można odnieść wrażenie, że został napisany przez kompozytora filmowego. Nadał on orkiestracji zupełnie nowy wymiar. Orkiestracja, czyli przypisanie dźwiękom barwy za pomocą określonych instrumentów, stała się w „Planetach” czynnikiem formotwórczym. To jest właśnie domena muzyki filmowej, że często zamiast formy, albo samej treści, używa się kolorów, aby zobrazować to, co dzieje się w danym momencie na ekranie. Np. część „Merkury” składa się z jednej melodii, która trwa zaledwie sześć taktów, ale jest powtarzana chyba trzydziestokrotnie i za każdym razem przez inny instrument. To coś podobnego jak „Bolero” Ravela, z tym że Bolero ma długą melodię, a „Merkury” króciutką. Ale dzięki orkiestracji, słuchając tych powtórzeń, właściwie nie odnosi się wrażenia monotonii.

Nie powiedziałbym, że „Planety” to utwór o kosmosie. Oczywiście, wszystkie części są inspirowane planetami, ale Holst kładzie nacisk na mitologię, jako trwałą fundament naszej kultury i pokazuje planety w kontekście symbolicznym.



Krzysztof Urbanski, Festival de Pâques 2016 r., fot. Caroline Doutre.

Co sądzi pan na temat Wojciecha Kilara, którego w Niemczech nazywają polskim Johnem Williamsem?

Bardzo lubię muzykę Wojciecha Kilara, jest autonomiczna i trochę oderwana od trendów obecnych w sztuce drugiej połowy

XX i początku XXI wieku. W jego początkowych utworach widać polskie korzenie, a w jego muzyce jest coś czarującego, ujmującego. Powiedziałbym, że to swego rodzaju uczciwość. Nie oznacza to, że zarzucałbym jakiemuś innemu kompozytorowi nieszczerłość, ale w przypadku Kilara, wszystko co napisał, wpływało głęboko z serca. Myślę, że publiczność słuchająca tej muzyki też to odczuwa.

Jest pan szczególnie ceniony za propagowanie muzyki polskiej, ale patrząc na programy prowadzonych przez pana koncertów, rozszerzyłabym to pojęcie o muzykę słowiańską.

Bardzo lubię prezentować na świecie muzykę polską i cieszę się, że mam tę możliwość, bo bardzo wielu polskich kompozytorów pozostaje nieznanych. Niedawno wraz z moją orkiestrą z Indianapolis byliśmy w Kennedy Center w Waszyngtonie, gdzie obok „Koncertu Wiolonczelowego” Lutosławskiego zaprezentowaliśmy „Credo” Krzysztofa Pendereckiego, które nigdy przedtem nie było tam wykonywane. W Ameryce można usłyszeć je bardzo rzadko. Uważam, że w dzisiejszym świecie sztuka, także i muzyka, jest bardziej uniwersalna, otwarta na wpływy z całego świata. Podobieństwa pomiędzy muzyką krajów słowiańskich, z Polski, Czech, Ukrainy, Słowacji i Rosji, wynikają z ich wspólnych korzeni, ale mają one też swoje indywidualne cechy. Zresztą nawet w Polsce istnieją brzmienia

charakterystyczne dla każdego regionu. Inaczej brzmi muzyka ludowa z Mazowsza, inaczej góralska, która opiera się na swojej autonomicznej skali. Jestem Polakiem i muzyka słowiańska jest mi bardzo bliska.

W swoim repertuarze ma pan „Tren ofiarom Hiroszimy” Krzysztofa Pendereckiego. Czy miał pan okazję dyrygować tym utworem w Japonii?

Dyrygowałem dwukrotnie „Trenem ofiarom Hiroszimy” w Japonii i będę tam ponownie wykonywał ten utwór w 2019 roku. Kiedy pełniłem funkcję Pierwszego Gościnnego Dyrygenta Tokyo Symphony Orchestra chciałem zadyrygować „Trenem...”, ale przez jakiś czas mi to odradzano. Sądono, że ludzie na widowni tego nie wytrzymają i zaczną płakać. Japończycy to wspaniali ludzie, ale o zupełnie innym poziomie emocjonalności, dużo bardziej wrażliwi niż my. A „Tren...” jest utworem wyjątkowo emocjonalnym. Ja sam bardzo przeżywam każde prowadzone przez siebie wykonanie. Po paru latach wspólnej pracy udało mi się przekonać orkiestrę do tego pomysłu. Wykonaliśmy go dwa razy i pamiętam, że dla wszystkich było to wielkie przeżycie. Podczas prób pojawiało się dużo niezwykłych sytuacji, kiedy wspólnie opracowywaliśmy wszystkie odgłosy, brzdęki, klastery, pukania i inne efekty dźwiękowe. Muzycy byli bardzo zaangażowani w proces szukania odpowiednich barw.

A czy był jakiś odzew ze strony melomanów obecnych na koncercie?

„Tren” to zawsze olbrzymi ładunek emocjonalny, ale reakcje publiczności są różne. Na przykład w Indianapolis otrzymałem list od weterana wojennego, oburzonego faktem, że umieściłem w programie ten utwór. A ostatnio na koncercie z San Francisco Symphony Orchestra, reakcja publiczności zupełnie mnie zaskoczyła. Na widowni znajdowała się osoba, która bardzo głośno wyrażała niepocholebne opinie na temat granego utworu. Reakcja na scenie była natychmiastowa, razem z muzykami wytworzyliśmy niesamowitą energię przeciwstawiając się tym krzykom. Publiczność w podzięcie zgotowała nam długą owację na stojąco. To było jedno z wykonań, które zapamiętam na całe życie.

Pamięta pan swój pierwszy występ z tym utworem?

Dyrygowałem nim pierwszy raz w życiu w 2007 roku, będąc jeszcze studentem. Ale w jego właściwej interpretacji pomógł mi później sam twórca, Krzysztof Penderecki. Kiedy świętował swoje osiemdziesiąte urodziny, pani Penderecka zorganizowała piękny festiwal, podczas którego przez cały tydzień były grane utwory z różnych okresów jego twórczości. Będąc wtedy w Warszawie mogłem chodzić na wszystkie koncerty i poznać bliżej jego muzykę. Na koncercie finałowym miałem okazję

dyrygować „Trenem...” i ze wszystkich sił starałem się zrobić to jak najlepiej, aby okazać szacunek i złożyć hołd wielkiemu kompozytorowi. Włożyłem bardzo dużo pracy w przygotowania. Notacja „Trenu...” znacznie odbiega od tradycyjnej, w partyturze są fragmenty z nakreśloną linią czasu i jest napisane, że dany takt ma trwać np. 25 sekund. Są też tam narysowane różne abstrakcyjne kształty i dopiero w partiach jest wytłumaczone, co mniej więcej trzeba robić, żeby wyrazić ten czy inny kształt za pomocą dźwięku, aby nabrał konkretnej akustycznej formy.

Czy często występuje pan w Polsce?

Kilka lat temu z moją orkiestrą z Trondheim podczas europejskiego *tournée* gościliśmy na Festiwalu „Chopin i jego Europa” i mieliśmy przyjemność występować w Filharmonii Warszawskiej i Krakowskiej.

Dwa lata temu miałem okazję występować w sali NOSPR-u w Katowicach i w Narodowym Forum Muzyki we Wrocławiu z NDR Elbphilharmonie Orchester podczas *tournée* w ramach Festiwalu Beethovenowskiego, na który zaprosiła nas pani Elżbieta Penderecka. Obie sale zrobiły na mnie duże wrażenie. We Wrocławiu szczególnie zachwyciło mnie brzmienie orkiestry na scenie. Być może to trochę egoistyczne spostrzeżenie, bo orkiestra musi przede wszystkim brzmieć dobrze na widowni, dla publiczności, ale w tej sali na scenie wrażenie było wyjątkowe.

Natomiast w Katowicach podczas próby przygotowawczej, kiedy graliśmy fragmenty utworu, z którym później występowaliśmy, byłem naprawdę oczarowany tamtejszą akustyką na widowni. Cieszę się, że mamy w kraju takie wspaniałe sale koncertowe. Mam marzenie, żeby kiedyś przyjechać tutaj z moją orkiestrą z Indianapolis.

Jak pan ocenia akustykę w Elbphilharmonie?

W grudniu 2016 przyjechałem tam pierwszy raz, ale tylko na nagranie płyty ze „Świętem wiosny” Igora Strawińskiego. Było to przed oficjalnym otwarciem Elbphilharmonie, więc nie miałem okazji posłuchać żadnego koncertu. Potem brałem udział w projekcie „Koncerty dla Hamburga”, którego inicjatorem był Thomas Hengelbrock, szef NDR Elbphilharmonie Orchester. W ramach cyklu orkiestra dawała codziennie dwa krótkie koncerty. Część z nich prowadziłem ja, ale większością dyrygował Hengelbrock. Mogłem więc codziennie dwukrotnie wysłuchać wykonania tych samych utworów, zarówno na koncertach jak i podczas prób, za każdym razem z innego miejsca. Dzięki temu poznałem tę akustykę dość dobrze, co bardzo mi pomogło przy własnych występach, bo już wiedziałem co zrobić, żeby orkiestra brzmiała jak najlepiej. Jest to specyficzna akustyka, ale fascynuje mnie jako słuchacza, bo jest niezwykle transparentna. Jeśli wyteży się słuch, to można usłyszeć pojedynczych członków orkiestry. Ale proszę sobie wyobrazić, jakie to wyzwanie dla

muzyków, kiedy każdy z nich jest tak wyeksponowany. Dla mnie jako dyrygenta najtrudniejsze zadanie polega na tym, żeby orkiestra nie brzmiała jak sto zupełnie różnych odcieni, lecz aby osiągnęła jedną, homogeniczną barwę. Jeśli mówimy o Elbphilharmonie, muszę jeszcze wspomnieć, że uważam ją za jedną z najpiękniejszych sal koncertowych na świecie, a sam budynek za dzieło sztuki. Cieszę się, że mogę obserwować jak Elbphilharmonie tętni życiem, dzięki muzyce i tłumom publiczności.

Fotografie pochodzą ze strony Krzysztofa Urbańskiego:

<http://krzysztofurbanski.com>

O Wojciechu Kilarze:

<http://www.cultureave.com/takie-piekne-zycie-portret--wojciecha-kilara/>